№ 30.

WARSZAWA, DNIA 17/29 Lipca 1865 R.

TYGODNIK MÓD I NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* złp. 10, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* złp. 25, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

BERTOLD AUERBACH

I WIEJSKIE POWIEŚCI CZARNEGO LASU.

Dnia 28 lutego 1812 roku, w krainie pobożnych legend i czarodziejskich powieści, w starej krainie Tacytowych Germanów, nad którą szmer odwiecznych jodeł płynie tajemniczą jakąś muzyką, urodziło się dziecko gorącéj krwi wschodniéj, jedynaste dziecko biednego żydowskiego rolnika z Nordstelten, Wirtembergskiéj wioski Czarnego lasu. Był to Bertold Auerbach. Kiedy matka, wzorem niemieckich wieśniaczek, szła w pole z kosą w ręku, albo niosła na głowie ciężkie brzemię nakoszonéj trawy, mała siostrzyczka kołysała go i śpiewała mu, może tę smętną piosenkę tułaczą, którą potem znakomity już pisarz kładzie w usta żydowskich chłopiąt z Nordstelten, śpiewających sobie w kwietniowy wieczór sabattu:

> Serce, serce, biedne serce moje,
> Czego wzdychasz w rozbolałem łonie?
> Czy cię biorą tęsknot niepokoje
> W obcéj ziemi, w cudzoziemskiéj stronie?..

Nie wiem, jakie były pierwsze dźwięki kołyszące młodego ducha, jakie pierwsze wyszeptane nad nim słowa, ale izraelskie dziecko rosło dziwnie melancholiczne i zamknięte w sobie. W szkole, a szkoła była osobna żydowska, nad podziw pojętne, nad podziw chciwe nauki, chwytające gorąco wszystkie wspomnienia staréj Judei, w domu stawało się ciche, zadumane, i aż do niepokojenia matki odosobniające się od rodzeństwa, zdolne godzinami całemi marzyć gdzie w jakim zakątku wiejskiego sadu, gdzie pod jaką dziką gruszą, jaką wiśnią kwitnącą, które potem maluje z łagodną rzewnością zakochanego w swoim obrazku malarza. Wtedy to zapewne nauczył się rozumieć te głosy cichéj wioski niemieckiéj, które dźwięk po dźwięku, wydały mu zwolna całą tajemnicę tamtejszego żywota, odkryły cały zaczarowany świat tamtejszych cudów. Wtedy podsłuchał owe wysmukłe śpiewaczki jaskułki nucące poważnie zadumanym kurom rozkosze swobodnego szybowania w powietrzu, świergoczące o wielkich błękitnych morzach, dalekich słonecznych krainach *). Wtedy zrozumiał, dla czego biedne kury owe, smętnie patrzyły ku górze zwijając i rozwijając ciężkie skrzydła swoje; dla czego szczególniéj czarny kogut z czerwonym grzebieniem podrywał się bez końca. Dziecko wschodu przy jednotonnym szumie Czarnego lasu zadumało się o długo włosych palmach Enge i przez sen wymówiło może jakie wpół zrozumiałe słowo. Ludzie podsłuchali je i powiedzieli mu, że ma powołanie być Rabbinem, i rodzice oddali dwunastoletniego już chłopca do szkoły Talmudu w Hechingen. W dwa lata potem przeszedł do wyższéj żydowskiéj szkoły w Karlsruhe, gdzie nauka wschodnich języków odkryła mu wspaniały horyzont starożytnych dziejów. Wtedy poczuł w sobie, że ciasny i wyłączny zakres nie wystarczy już dla potrzeb jego ducha, że jest przed nim wielki skarbiec ludzkości, gdzie tysiące pokoleń składało pokolei owoc myśli i doświadczeń swoich. Zapragnął go, bo jak powiedział Göthe: *drzewo życia zieleni się wiecznie* i soków w niem krążących zamknąć nie można żadną zastawką sztuczną, i czem siła ich jest zdrowsza, czem organizm który podsycają doskonalszy, tem potężniejszym gwałtem nie przepartéj konieczności muszą jak daktyl pustyni przebić się aż do rodzajnych pokładów ziemi, zdobyć sobie grunt rzeczywisty, z którego w postaci tysiąca kwiatów i gałęzi wystrzeliłyby ku słońcu. Tak zrobił Bertold Auerbach: wyższa jego natura łaknęła wiedzy, jak człowiek głodny, który wie, że tuż obok niego jest chleb dobry i posilny; postanowił więc do

*) Kryminaliści.

orientalnych nauk swoich dodać studya klassyczne, i z tą wytrwałą odwagą, którą tylko wielka miłość nauki daje wybranym dzieciom ludu, wszedł, o własnych już siłach do gimnazyum w Stuttgardzie, gdzie zarazem wziął stanowczy rozbrat z wybranym mu przez rodziców zawodem duchownym. Chcąc przecież wyrobić sobie niezawisłe stanowisko w świecie, zaraz po ukończeniu gimnazjum Stuttgardskiego rozpoczął kurs prawa w Tubindze; ale przy usposobieniu jego umysłu kodeks nie mógł zatrzymać go na długo. Duch młodego Żyda rwał się niespokojnie i namiętnie, syn wydziedziczonego i odpychanego plemienia miał w głębi piersi swojéj tysiące pytań wielkich, zagadnień nie rozwiązanych, na które nauka musiała mu odpowiedzieć w imieniu społeczeństwa.

Musiał pod karą wiecznego niepokoju zrobić swój obrachunek z Bogiem i ludzkością pierwéj, nim zaczął budować sobie dom wśród społeczeństwa, nim zaorał zagon swój na chleb powszedni. Do tego momentu organicznéj pracy, odbywającéj się w wnętrznościach moralnéj jego istoty, filozoficzny wykład Biblii Dr. Dawida Strauss musiał naturalnym już porządkiem rzeczy przypaść najlepiéj. Słuchał go też z zapałem i wytrwale, nie opuściwszy ani jednéj lekcji, i w tym to czasie wydał bezimiennie pierwszą pracę swoją, małą broszurkę, cechującą już przyszły talent jego, a napisaną gorącem piórem młodości: *Judaizm i piśmiennictwo nowoczesne.* Wkrótce potem, śmielszy już i pewniejszy siebie, ogłosił dzieło mające, podług nakreślonego planu, wychodzić częściami, z których każda stanowiąc oddzielną całość, wiązałaby się przecież z poprzedniemi nicią ogólnego interesu, łącznością jednego celu. Celem tym miał być obraz wielkiéj rodziny żydowskiéj, rozproszonéj wśród ludów Europy, jéj prace i boleści, jéj walki i nadzieje między niemi. Wyłączność, w jaką ją zamyka podwójny pierścień przesądu i nieszczęścia, nastręczył młodemu autorowi włoskie miano *Ghetto.* Młody, dumny, namarszczony, miał w sercu swojem uczucie braterskiéj miłości dla ludzi, a przecież mimo to wszystko widział w koło siebie błędne koło dwóch przesądów, splatających się wzajemnie, jak dwa węże ogniste, i dla tego książce, mającéj malować kolejno różne fazy żydowskiego żywota jego jasne i ciemne strony, dał starą nazwę smutnéj, brudnéj, ciasnéj i zamkniętéj dzielnicy żydów w wiecznym mieście Rzymie. Pierwszą częścią *Ghetto* był romans *Spinoza.* Treścią jego, jak łatwo się domyślić, jest życie sławnego żydowskiego filozofa z XVII wieku, skreślone z uczuciem razem smętnem i gorącem, niekiedy dziwnie dumnem, dziwnie niespokojnem. Czuć czytając, że pod czarnemi kreskami druku drży żywe serce ludzkie, że pytania tu rzucane, niepewności tu wydobyte rwą i szarpią, boleści bolą, miłości kochają.

Byłto jakby wstęp jakiś obszerny, długa przedmowa do dzieł Spinozy, które w kilka lat potem, słuchając w Monachium kursu filozofii Schellinga, przetłomaczył i wydał.

Drugi z kolei romans Auerbacha *Kupiec i poeta* stanowi drugą część *Ghetto.* Po życiu mędrca idzie życie poety, ale życie poety żyda, smutnego więc poety z sarkazmem, na ustach jak u Heinego i Börnego. Jestto *Mojżesz Efraim Kuh.* Auerbach, postać tę kreśli już piórem wprawniejszem, ale koloryt zawsze gorący. Sztukmistrz nie zakrywa człowieka.

Tu przecież jest koniec *Ghetto,* koniec wyłącznie żydowskiego kierunku Auerbacha. Że ten, który wstępuje wyżéj, musi niewątpliwie lepiéj widzieć przedmioty, na które dotąd zapatrywał się jednostronnie; że zatem i Auerbach rozszerzając zakres wiedzy swojéj, wytrawia się sam w sobie i przychodzi zwolna do pewnéj równowagi moralnéj, która za namiętność daje mu spokój, znającéj się, więc ufającéj sobie siły. Ale sądzą że inna jeszcze okoliczność, z saméj swéj natury potężnie wpłynęła, a dla wyjątkowego położenia młodzieńca silniéj jeszcze wstrząsnęła całą istotę jego, przyspieszyła tę ważną w życiu jego chwilę, rozwijając i wydobywając na jaw owe święte nasiona, które natura składa w każdéj szlachetniejszéj piersi, a które zatem i pod sercem Auerbacha kiełkować musiały oddawna, choć może nieświadome same siebie, objawiające się tajemniczo i niepewnie, jak szept cichy niewidzialnego anioła.

Koleżeńskie życie w uniwersytecie Heidelbergskim, do którego przeniósł się z Monachium, sformułowało mu jasno i czysto to, z czego on sam sobie sprawy zdać nie umiał, określiło i nazwało mu po imieniu uczucie naturalne i proste, do którego przecież aż dotąd przyznać się nie śmiał, i nosząc go w sobie nie rozumiał, wyszukując mu sztucznych jakowych upustów. Jednem słowem Auerbach Żyd poczuł, że kocha niemiecką tę ziemię, na któréj się rodził, któréj chleb go żywi i słońce ogrzewa, gdzie prochy jego ojców i dziadów leżą zmięszane z prochami Niemców, i gdzie on sam pójdzie kiedyś na sen ostatni, ostatni spoczynek.

Położenie fałszywe i nienaturalne jakiegoś wydziedziczenia jakiejś rośliny pasożytnéj, uprościło się od razu; młodzieniec poczuł pod nogami grunt rzeczywisty, krępujące paski wyłączności z rąk mu opadały, pole działalności rozumnéj otworzyło się szeroko.

Praca codziennego żywota nie stawała już przed nim, jak prosty trud dla chleba powszedniego: obywatel-pszczoła w rodzinnym ulu swoim będzie wyciągał miód życia, pomnażając dobro ogółu.

Ta chwila przeobrażenia przypada właśnie na epokę wielkiego umysłowego ruchu w Niemczech. Młodzież ta wywołana do życia wstrząśnięciem walk Napoleońskich, mająca w Körnerze Tyrteusza swojego, nie mogła już wrócić w stare szranki formułek średniowiecznych, ani uciekać w awanturniczy świat Schillerowskich *Rozbójników.* Auerbach wciągał w piersi te nowe dla siebie żywioły, serce, nie zasklepiące się już sofistycznie podtrzymywaną obcością, uderzyło tętnem silnem i gorącem. Na nieszczęście ten najpiękniejszy, jak go sam nazywał, period jego młodości przerwał się niespodzianie, wmięszany w sprawę Frankfurtską aresztowanym został w Monachium, gdzie przecież wolno mu było uczęszczać na prolekcye akademickie, aż do ukończenia sprawy. Wtedy Sejm Niemiecki skazał go na siedm miesięcy więzienia w twierdzy Hohenasperg-skiéj w okolicach Stuttgardu. Przypadek zrządził, że zajmował właśnie celę, którą pan Daniel Schubart zamieszkiwał lat dziesięć i gdzie 1775 roku odwiedzał go młodziuchny podówczas Schiller.

W 1841 r. Auerbach wydał: *Wieczory Niemieckie,* zawierające: *Kochani ludzie. Co to jest szczęście. Cór-*

ka gajowego. Grajek. Wkrótce potem ukazała się pierwsza serya *Wiejskich Powieści Czarnego lasu*, które od razu zyskały mu imię pierwszorzędnego pisarza, a czytane i znane przez ludzi wszystkich partyi, i wszystkich opinii, wyrobiły sobie rozgłos europejski; tłomaczone są na język angielski przez Miss Taylor, na francuzki przez Maxymiliana Buchon. A że dziełko to na pozór tak skromne, złożone z kilku powiastek malujących proste i pracowite życie ludu, musi mieć, oprócz piękności stylu i poetycznego uroku obrazów, jakie przedstawia, wyższe i głębsze zalety swoje, najlepszym tego dowodem jest zajęcie, jakie obudziło w piśmiennictwie obcem, szczególniéj w piśmiennictwie francuzkiém, tak bogatem w talenta żywe i płodne, zawsze trochę pamiętnem dawnego przewodniczenia Europie, trochę chełpliwem, i zarozumiałem dumą, z innego może źródła sprawiedliwie płynącą; w piśmiennictwie mającem w sobie zawsze coś, że staréj buty Rzymskiéj: po za nami barbarzyńcy.

W 1846 r. *Revue de deux Mondes* zamieściło obszerny artykuł Reneusza Taillandier, rozbierający dzieło Auerbacha; czytamy tam:

— „Jakiż jest przedmiot książki pana Bertolda Auerbach? życie wiejskiego ludu jego kraju; obraz jakiejś biednéj, w lesistych okolicach ukrytéj gminy; malowidło szorstkich i naiwnych obyczajów rolnika i węglarza. Porzuciliśmy, dzięki Bogu budoar hrabiny Hahn-Hahn, salony pana de Sternberg, i cały ten świat zagadkowy, gdzie *Młode Niemcy* prawiły nam kazania o rehabilitacji materji. Uwolniliśmy się od tego towarzystwa sztywnego, nienaturalnego, tak dziwnie nierzeczywistego, a szczególniéj tak wcale nie niemieckiego. Nie umiem wypowiedzić, jak wdzięcznie wonny powiew jakiś doszedł mnie zdaleka, to wiatr wiosenny, powietrze zdrowe i czyste, co przeciągnęło po nad zagrodą gospodarza, przeleciało nad świeżo zaoraną bruzdą, przewionęło dąbrową Czarnego lasu.

Auerbach z żyjących w powieściach swoich osób, nie porobił reprezentantów jakiegoś systemu, nie przekształcił ich w trybunów lub predykantów; kochał ich, i odmalował na wielkiem płótnie swoim, z całą grą twarzy szczerych i otwartych, z całą złośliwą nieco ich prostodusznością, z wszystkiemi cnotami i wadami ich żywota, bo to druh i ziomek, od którego należy im się trochę dobréj rady i nauki. Żołnierz i węglarz, proboszcz i nauczyciel szkółki, wieśniak, co się puścił szukać chleba za domem, seminarzysta tęskniący do ojcowskiéj izby, uwiedziona dziewczyna, włóczęga, i Bóg wie nie kto jeszcze, wszyscy tam są. Immerman napisał po prostu jeden epizod; tu całe społeczeństwo, że się tak wyrażę. Czy pisarz nie będzie się powtarzał? czy zdoła uniknąć jednostajności jakiegoś, jakby wciąż jedno poddającego natchnienia? Są to obawy usprawiedliwione niejako, a przecież uspokoi się każdy, kto tylko zechce zauważyć, tę miłość przedmiotu zawsze równą sobie, te rady wypowiedziane raz z odważną śmiałością, raz wsuwające się ukradkiem, a szczególniéj zaś to poczucie godności ludowéj tak biegłą ręką prowadzone, a które przecież rozświeca jasnym blaskiem swoim wszystkie te obrazy żyjące. Zadanie trudne, ale sztukmistrz poważny, ma dość sił aby dobrze wywiązał się z niego".

Tak, i ja jestem tego zdania: *sztukmistrz poważny ma więc siłę* podołać temu co przedsięwziął; a to coś, nie jest znów tak małą rzeczą, jakby się z pozoru zdawało. Jestto z miłością i prawdą dokonane studjum żywota ludowego, a szczególniéj dokonane *serio*, jak robota, którą pracownik ceni, i waży sobie wysoko. Baruch Spinoza filozof i Buchmayer wójt Nordslettenskiéj gminy, to *dwóch ludzi* tylko, którzy noszą na sobie dostojeństwo natury człowieczéj. Auerbach z jednakowo głębokim szacunkiem przystępuje do zbadania każdéj piersi ludzkiéj. Z równą sumiennością słucha jéj drgnień, jéj porywów, jéj namiętności, natchnień wzniosłych czy prostych, bo Auerbach przedewszystkiem szuka człowieka, śledzi jego naturę, widzi wszędzie jednakowo boski jego początek. Tylko, malując wrażenia odebrane, artysta używa barw rozmaitych, a że badał głęboko, dotykał uważnie, obrachowywał się sam z sobą sumiennie, rysuje czysto, koloruje prawdziwie, cieniuje delikatnie, I dla tego to, jego pisma pretensji tak skromnych, przedmiotów tak prostych, noszą na sobie tę cechę wyższości, która nie tylko umysły podnioślejsze, ale cały ogół uderza. Ludzie nie mający w sobie poczucia prawdy, a więc i zmysłu prawdziwego piękna, nie umieją sobie niekiedy zdać sprawy, z tego powodzenia rzeczy, nie wybijających się, żadną szczególnością pozorną. I oto występuje znowu drugi francuzki krytyk Auerbacha, Weill, którego *Powiastki Alzackie* z przedmową Heinego wyszły w 1847 r. a który w pobieżnéj *historji piśmiennictwa ludowego*, umieszczonéj, jako wstęp do jego *Dziejów wioski*, odzywa się w szczerości ducha:

„Jak ja byłem niegdyś dręczony filozoficznemi naciskaniami Gutzkow'a, tak z kolei doświadczam potrzeby nacisnąć Auerbach'a, którego *Wiejskie powieści Czarnego lasu* uważam za dziełko bardzo mierne, i po prostu zrozumieć nie mogę, co nadało im ten niezmierny rozgłos, i zyskało tak wielkie pochwały całych Niemiec?"

Na to Maxymilian Buchon, francuzki tłomacz Hebla i Auerbacha, odpowiada niejako w studjum swojem nad dwoma wzmiankowanemi pisarzami:

— „Hebel pisał temu lat pięćdziesiąt, przecież narzeczowa jego poezja, mieć będzie zawsze wdzięczną świeżość polnéj stokrotki, rozwiniętéj w majowem słońcu; ale Auerbach to pisarz naszéj epoki, czujemy jak z kart jego książki wieją *wszystkie dreszcze uczuć nowoczesnych*."

Oto rozwiązanie zagadki: publicysta francuzki, autor, myśliciel, poznał dreszcze uczuć swoich w grubéj i szerokiéj piersi chłopa z Czarnego lasu, więc musi to być przedewszystkiem żywa i ciepła pierś człowieka; żywa pierś z doskonale ludzką krwią i ciałem, a szczególniéj ludzkiem sercem w pośrodku. Auerbach nie pisze idylicznych powieści dla artystycznego effektu prostoty i świeżości, jakie otrzymać można z nieużytego jeszcze w literaturze żywiołu, Auerbach, umysł szczerze i prawdziwie liberalny, przystępuje do malowania ludu poważnie i z uszanowaniem, i ten to właśnie poważny szacunek, będący jakby zwyczajną i spokojną atmosferą jego obrazków, naturalny wypływ głębokich przekonań, nadaje pismom jego niezaprzeczoną wyższość nad wielu innemi tego rodzaju pracami. Nigdzie nie ma w nim tych jałowych wybłysków, gdzie uczucie i wyobraź-

nia zmięszane razem, i podbudzające się nawzajem, palą i rozpalają. A przecież nie jest to wcale zimnowierna fotografja ludowego żywota. Dramat uczuć odgrywa się tam gorąco, ale nie jaskrawie; jest prosty, bo powstał z gry wypadków prostych, zwyczajnych, codziennych, ale nie mniéj przeto wzniosłym, pięknym, zajmującym, jak miłość, ofiara, nadzieja, zemsta, poświęcenie, wszystko wreszcie co bije w sercu ludzkości, tylko, że sceną jest izba gospody, podwórze chaty, targ jarmarczny, albo graniczna miedza między dwoma łankami pola. Lniana suknia wieśniaczki nie układa się jak purpurowa tunika królewny, lecz to może jest największą zaletą Auerbacha, że suknia owa nie podrzeźnia nigdy drapowania się tamtéj, i dla tego zostaje zawsze piękną właściwą pięknością swoją.

Nad tem wszystkiem, jakby srebrna zasłona gazy, rozwiesza się jakiś łagodnie smętny urok, który Auerbach czerpie we wspomnieniach swoich lat chłopięcych, w dziecinnem przywiązaniu do miejsc swych rodzinnych. Jestto ta woń niewypowiedzianéj słodyczy, o któréj mówi Reneusz Taillandier, ciepło wiosenne, oblewające przedmioty miękko i wdzięcznie. Myśl Auerbacha wystrzeliła gdzieś ku górze; życie jego poszło inną drogą działalności, ale serce zostało zawsze w cichym kątku Czarnego lasu, gdzie matka wieśniaczka kołysała go pod nizką strzechą Nordstetteńskiéj chaty. Nie mógł tam zostać, ale smutno mu się robi, że odejść musiał, wraca więc na skrzydłach wspomnień, przypomina sobie studnię przed domem gminy, izbę szkolną, jęczmienisko na Holgschleglu, dziką gruszę na guzalu. Pamięta jak pachnie cierń kwitnąca na wiosnę, jak smakuje jeżyna dojrzewająca latem. Nic nie zapomniał, nie odwykł od niczego. Kocha wszystko: pola, łąki, kamienie, stary las Weiherlé, niezgrabną dzwonnicę, ale nadewszystko kocha ludzi!... Ta to miłość dobra i rozumna, ta miłość ludu niemieckiego jest dla mnie najwyższym przymiotem Auerbacha, najpiękniejszą cechą jego charakteru. Bo lud ten w gruncie dobry i szlachetny, jak każdy lud na świecie, musiał nieraz przecież dać się napić żydowskiemu synowi z przykréj czary upokorzenia. Sam to wspomina, ale bez żółci, bez goryczy: „*Wszystkie dzieci chrześcijańskie*, mówi w notatkach Nauczyciela z Lauterbachu, *rosną w niewiedzić zkąd nabytem przekonaniu, że każdy Żyd w szczególności wyrządził im krzywdę jakowąś. Ztąd tajemniczy wstręt zakorzenia się w sercu dziecinnem. Ja naprzykład, wyobrażałem sobie zawsze, że wszyscy żydzi mają świerzbę. Dziecko pieści rozmaite zwierzęta domowe, ale pocałować żyda — nigdy!...*

Daléj, zawsze Nauczyciel z Lauterbachu mówi:

Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy zwrócić najmniejszéj uwagi na żydów, choć dużo ich było w mojem mieście rodzinnem. Pamiętam tylko, że będąc dzieckiem żartowałem z małych żydziaków i biłem ich, gdzie mogłem dopaść.

Daléj znowu: *Nie zastanawiamy się więcéj nad stosunkiem naszym do żydów, jak naprzykład, nad stosunkiem naszym do koni*"

I jeszcze: — *Każdy Żyd w towarzyskiem życiu swojem, pozostaje między dwoma najboleśniejszemi uczuciami: obawą poniżenia się, i męką obnażonéj miłości własnéj, którą podejrzliwe rozdrażnienie często za daleko posuwa.*

A przecież w tejże saméj powieści stara Mauryta odzywa się do młodzieńca miejskiego, którego razi szorstki obyczaj—gruba zwierzchnia szata wieśniaka: — „*Ty kochanku, może nie wiesz jeszcze, jacy to tu ludzie dobrzy?*"

Auerbach wzrosły wśród tego tłumu żydziaków, *bitych gdzie dopaść ich było można*, Auerbach wie o tem przecież, bo jak każdy umysł wyższy wyrozumiałym jest i pobłażliwym. Choć go nigdy pocałować nie chciało żadne dziecko tego ludu, on dobrotliwem spojrzeniem przeniknął drapiącą tkankę samodziału, twarde włókno w domu przędzonéj koszuli, sięgając aż tam, gdzie pod zgrubiałą skórą chłopa jest już tylko serce człowieka. I dosłuchawszy się jego najcichszych uderzeń, dopatrzywszy się najsubtelniejszych jego nerwów, na pierwszéj zaraz kartce *wiejskich powieści Czarnego lasu* odmalował nam *Gamonia — Alojzego*, postać smutną ciężką, nieodznaczającą się nawet zbiegiem nadzwyczajnych wypadków losu; postać, koło któréj sto razy może przeszliśmy w życiu, nie obejrzawszy się nawet, a która teraz zwiąże się może z niejednem sercem czytelnika, niby jakimś żalem cichym, który budzi się w nas mimowoli, kiedy widzim, że coś pięknego jest potrąconem, coś dobrego marnieje zapoznanem.

(d. n.)

Kronika zagraniczna.

I.

Coraz bardziéj upowszechniające się znaczenie i wpływ powieści francuzkiéj, któréj doniosłość wszędzie i zawsze z pożytkiem piszących i czytających roztrząsaną być powinna, skłania nas do poświęcenia dzisiejszéj i następnéj Kroniki obszerniejszemu sprawozdaniu o powieściowych utworach najnowszéj literatury francuzkiéj. Za przedmiot uwag obieramy powieści pani George Sand, ile że powszechny zapał, z jakim utwory znakomitéj autorki i czytane i rozbierane być zwykły, przeniósł się do ognisk naszych.

Do rzędu kobiet prawdziwego geniuszu i niezrównanego talentu powieściopisarskiego we Francyi należy pani George Sand. Sévigné i Staël znalazły w niéj godną spadkobierczynię dążności i pojęć świata francuzkiego, z tą atoli różnicą, że o ile tamte w ścisłe nakreślonym poszły kierunku, o tyle pani Sand wszystkiemi niemal bieży drogami do celu swych zasad i pojęć. Polem działalność dla tamtych był świat więcéj polityczno-społeczny, dla niéj zaś społeczno-obyczajowy, niwa obszerna bardzo, ale tem niebezpieczniejsza; polityczne uwidzenia łatwiéj się bowiem przebaczają, społeczno-obyczajowe prawie nigdy; a odbieżyć raz tylko od zasad i wyobrażeń swego wieku, jestto zrazić ku sobie cały świat żyjący,

jego przywódców i wyobrazicieli. Pani Sand, kobieta wielkiego geniuszu, ale słabéj woli i umysłu nie dość krytycznego, była zmuszoną przerzucać się z pola na pole, z obozu do obozu, w miarę jak tego szerokie tło obyczajowe wymagało. Przywiązana do imponujących myśli, jak postęp, miłość, godność człowieka, prawo natury, wolność sumienia, przykuta do narodu i pokolenia, które przyszły na świat z miłością awantur, z namiętnym pociągiem obalenia wszystkiego, porwana zapałem i potrzebą wiary, podkopanéj szyderczą krytyką ośmnastego stulecia: pani Sand stanęła przed narodem z zuchwałą odwagą wyrwania go z ciasnych stanowisk religijno-społecznych. W każdym atoli razie, czy sprostała tak ogromnemu zadaniu lub czy wytrwała na obranem stanowisku... zawsze zostanie ona jasną gwiazdą, godną przyświecać piśmiennictwu francuzkiemu obok promiennych gwiazd-rywalek, Sévigné i Staël.

Ogromna jest przestrzeń, rozdzielająca pisarzy prawdziwego geniuszu od talentów, wykluwających się mozolnie z potrzeb oświaty. Talenta ukształcające się dopiero pod wpływem postępu i pracy narodu, mają ścisłe granice działalności i doniosłości, a idą naprzód, gdy i naród się rusza, stają, gdy naród spoczywa, cofają się, gdy naród wstecznym idzie kierunkiem. Geniusz prawdziwy nie zna żadnych granic; wszechwładna potęga, w któréj się rodzi, żyje, działa i umiera, jest darem Bożym, nigdy się nie wyczerpującym, zawsze świeżym i twórczym, jak twórczą i świeżą jest przyroda. Geniusz tak samo jak przyroda odmładnia się bezustannie przez dziwną i nieodgadnioną metamorfozę. Geniusz, to istna przyroda w duszy człowieka. Warunki bytu geniuszów są te same co w przyrodzie; władze odmładniania się także te same, tajemnice wieczystéj metampsykozy także te same. Geniusz i przyroda, to dwa łona, w których wszystko się zawiązuje i dojrzewa, w których najdrobniejsze pyłki w organiczną rozrastają się całość.

Z obecnie żyjących pisarzy francuzkich pani Sand posiada wszystkie te władze w najwyższym stopniu rozwoju i udoskonalenia. Możnaby ją przyrównać do żyznéj gleby, pełnéj ożywnych soków, przypominającéj nam co chwila cuda natury. Z pyłków, tonących w jéj łonie, wyrastają wspaniałe drzewa, z lada ziarnka roślina wykwita. Opowieści, spostrzeżenia, uwagi, marzenia, i fantazye, wszystko to rośnie pod wpływem olbrzymiéj wyobraźni w wymowne utwory, w dzieła duszy i serca, ciepła i życia. nauki i rozrywki. Geniusz pani Sand, to przedziwny alchimista, nieświadom nawet samego siebie, nieświadom tego co czyni. Czasem uda się czytelnikowi dostrzedz kilka tu i owdzie rozsypanych ziarnek w utworach niespożytéj twórczości, i miałżeby nie podziwiać téj przedziwnéj siły, mocą któréj z tak maluczkich pyłków, z ziarnek na pozór czczych i oschłych, urosła olbrzymia całość: tu powieść z marzeń lub wspomnień urosła, tam dramat na pierwszem lepszem osnuł się wrażeniu, gdzieindziéj lada typ lub legenda, pochwycone w hyżym przelocie wspomnień z lat dziecęcych, przyoblekły się w obszerne ramy charakterystycznéj powieści.

Liryzm i dar powieściowy są to dwie władze, które pani Sand w równéj posiada mierze. Harmonia ich przekonywa nas co chwila, że hojna przyroda nie poskąpiła jéj w niczem daru Bożego, wyróżniającego ją od pisarzy powszednich.

Genialna autorka posiłkuje się lirycznem uzdatnieniem w sposób przedziwnie lekki, ale i umiejętny. Liryzm jéj nie ma chorobliwych wyskoków duszy, nie lubi zbytecznéj tkliwości, ni też pustych wybryków kaprysu, ale cichym potokiem roztacza się po obszarach bujnych myśli, użyzniając bezustannie każdą piędź, każdy kątek niwy. Nie widać w nim najmniejszéj przesady, nie widać zbytku, jednem słowem: pani Sand unika w liryzmie owéj deklamacji, przed którą jéj współzawodnicy ustrzedz się nie mogą, a która z powieściopisarza robi zwykle deklamatora, z malarza-artysty lichego kopistę, z charakterystycznego obrazu mgliste postacie, z głębokich myśli puste frazesa. Liryzm pani Sand jest czarującym wdziękiem powieściopisarskiego geniuszu, co urozmaica wypadki, uwydatnia i stroi postacie wyobraźni, strzegąc ją bezustannie przed nużącą jednostajnością myśli i morałów.

Największą zaletą kobiet-autorek jest dar opowiadania. Wypadki życia domowego wywołują na umyśle kobiety dziwne wrażenia, budzące w niéj zamiłowanie do spisywania wszystkiego tego co widziała, lub czego doznała. Dość jest przeczytać list kobiety, pisany pod wrażeniem przyjaźni lub w zapale uniesienia, ileż-to tam delikatnie odcieniowanych myśli, ile zachwycających obrazków, ile postaci i charakterów. Tak samo i u pani Sand. Jéj hyże pióro dościga najlżejsze myśli, wypadki rozwijają się z pośpiechem godnym zastanowienia, typy i postacie snują się w uroczych kształtach i strojach. Jéj wyobraźnia, to kolejdoskop zaczarowanych postaci, to magiczna władza porywania za sobą wszystkich co umieją żyć, płakać i śmiać się zarazem.

Dar opowiadania nie wystarcza atoli sam przez się do powołania powieściopisarskiego. W powieści jak w dziejach wypadki zależą a raczéj wynikają z charakteru osób; człowiek, jego byt, znaczenie i powołanie, to właściwy przedmiot powieści. Historykowi nie wolno tworzyć nowych, nieznanych jednostek, nie wolno mu być niczem więcéj jak widzem i sędzią człowieka. Śledzić człowieka po wszystkich zakątkach ziemi i oświaty, dochodzić jego początków, namiętności, błędów i wielkości, szukać związku pomiędzy nim a dziejami, pomiędzy przeznaczeniem jego a wolą Boga: takiem jest zadanie historyka. O ileż atoli, przestronniejsza jest niwa powieści. Tam, gdzie historyk zaledwie dostrzedz zdoła wśród wypadków postać jakąś, tam już powieściopisarz poznajomił się z naturą, usposobieniem i przeznaczeniem człowieka. Powieściopisarz stwarza w jednéj chwili jednostki, stwarza materyał, i z nich wedle upodobania uroczą i żywą wysnuwa całość. Miejsce wypadków, sytuacye, typy i charaktery, wszystko to odtwarza dopiero jego wyobraźnia, wlewając wszędzie swą duszę ożywczą. Jéj typy i charaktery są prawdziwe, rzeczywiste, i pełne; są to wykończone obrazy, gdzie z każdego pociągu pęzla, duch żywotny przemawia: każda powieść zda się być oddzielną księgą dziejów człowieka. Pomiędzy głównemi zaletami pani Sand jest jeszcze i ta, że postacie, mianowicie bohatery powieści, w najściślejszym stoją związku z wypadkami powieściowego wątku. Pod jéj piórem odbywa się bezustannie amalganiczny proces wypadków i jednostek

każda figura ma swoje tło wyłączne, każde tło swoją postać. Gwałtownych lub oderwanych odskoków jednostek od właściwego tła niemasz w żadnym utworze. Charaktery są najprostszym, najnieodzowniejszym wynikiem wypadków.

Pani Sand bada człowieka we wszystkich szczegółach przeznaczenia i usposobienia. Przy pomocy wieszczego sposobu widzenia, odgaduje najskrytsze tajniki natury ludzkiéj, a z misternego cieniowania uczuć i wrażeń wnosić należy, że wniknęła do samych głębin duszy i serca. To znów widać ją samą, jak wśród obcych postaci, obcego świata podnosi sztandar postępu, miłości, wiary i pociechy, widać ją w szacie owych chórów starożytnéj trajedyi, jak przemawia w imieniu zgody i pokoju, jak uczy stąpać po świecie, dobijać się sprawiedliwości, ścigać kłamstwo, zachować godność męzką, popierać wolność sumienia i strzedz świętego ognia bliźniéj i małżeńskiéj miłości.

— Tyle o geniuszu i uzdatnieniu powieściopisarskiem pani Sand. W następnéj kronice pomówimy o znaczeniu, celu i doniosłości jéj powieści.

August Jeske.

Kronika literacka.

Historja żydów w Polsce przez Aleksandra Kraushar. Okres Piastowski. Warszawa 1865 r.

Zapowiadanéj już dawniéj historji żydów w Polsce wyszedł na pięknych welinach tom pierwszy obejmujący Okres Piastowski. Większą część téj pracy znamy już z Jutrzenki, gdzie ją pan Kraushar młody literat izraelita pomieszczał. W skład jednak nowego wydania weszły świeże materjały, co pozwoliło téj pracy więcéj się zaokrąglić, więcéj wypełnić. Jakkolwiek nosi ona bardzo poważny tytuł, jednak żywości opowiadania, zdramatyzowaniem zaliczyćby ją należało, do książek nadobnych, niż poważnych raczéj naukowych. Nawet ta chętka żywości i dramatyzowania unosi często autora po za granice naturalności, w czem szczególniéj grzeszy zbyt jaskrawo opowiedziana historja pięknéj Esterki. Porównanie mianowicie Kazimierza W. z Sardanapalem trudne jest do przebaczenia. Lecz za to ożywiający całą pracę duch względności, przewodnia idea postępu dla ludu Izraelskiego, nadają szczególny i szerszy interes temu dziełku, ważnemu szczególniéj dla wspówyłznawców młodego autora.

SZTUKI PIĘKNE.

Na tegoroczném wystawie prac malarskich w Paryżu ozdobą salonu honorowego, gdzie najlepsze zgromadzono utwory, był Jana Matejki *Skarga każący przed Zygmuntem III.* Obraz ten wielkich rozmiarów, własność hrabi Maurycego Potockiego z Zatora, sam jeden może przedstawiał w Paryżu na tegoroczném wystawie wielkie malarstwo historyczne.

Scena dziejowa z końca XVI wieku, odbywa się w warszawskim kościele ś. Jana.

Po prawéj stronie obrazu, ksiądz Skarga z Towarzystwa Jezusowego, w czarnéj sutannie stoi na podwyższeniu i mówi z zapałem: obie jego ręce w górę podniesione, białe włosy rozwiane, twarz blada, natchniona, usta drżące... zdaje się mówić jedno z owych kazań, któremi pobijał sekciarzy, popierał władzę zachowawczą króla i usiłował zwrócić rzeczpospolitą na dawną drogę; zdaje się ciskać na głowy zgromadzenia swe wieszcze słowa.

Słowa Skargi w obrazie, podobnie jak w historyi, padają jak groch na ścianę. Otoczenie nie łączy się z kaznodzieją: jedni nie słuchają, drudzy szydzą, trzeci śpią...... Naprzeciwko mówcy król siedzi w krześle: pochyliwszy na koronkową fryzę skłopotaną głowę, zdaje się kończyć przerwaną drzemkę. Po prawéj stronie mówcy klęczy w ławce kardynał Malespina, nuncyusz apostolski w purpurze: rzymski jego profil uderza; za nim stoją ambasador austryacki i szwedzki. Przed kardynałem senator Sapieha i Jerzy Mniszek wojewoda sandomirski, ten, którego córka poślubiła wkrótce potem fałszywego Dimitra.

Za fotelem króla stoi książe Janusz Ostrogski, który później stanął pomiędzy Zygmuntem III a księciem Januszem Radziwiłem, Mikołajem Zebrzydowskim i Stanisławem Stadnickim, przywódzcami rokoszu mającego na celu detronizacyę króla.

Po lewéj stronie widać Stanisława Karnkowskiego, arcykiskupa gnieźnieńskiego, prymasa polskiego i biskupa metropolitańskiego Pocieja.

W loży kościelnéj siedzą: Jan Zamoyski kanclerz wielki koronny, wojewodzina małżonka Mikołaja Herburta; Anna Jagielonka ciotka Zygmunta III, która sama jedna zdaje się pojmować wagę słów Skargi, i Zofia księżnicka Ostrogska, późniéj żona wojewody krakowskiego Stanisława Lubomirskiego. W głębi widać tłum niewyraźny i wysmukłe filary katedry warszawskiéj.

Układ obrazu nie tylko malowniczy, ale uczony; twarze, portrety historyczne wyrażają swój charakter dziejowy. Obraz świetny, co się zowie, przypomina najlepsze utwory Roberta Fleury, jednego z najgłębiéj myślących malarzy paryzkich, a zarazem znakomitego kolorysty.

Słowem, obraz bez *ale.* Natchnienie malarza upatrujemy głównie w obiorze przedmiotu: wykonanie niepoślednie iść za nim musiało.

Wszystko to razem sprawia, że około tego obrazu tłok zawsze: wiedzący o co tam chodzi, nie może oczu od tego płótna oderwać; ci, którzy tylko techniczne wykonanie sceny rozumieją, cisną się wabieni kolorem i układem. Pierwszy krytyk paryzki, p. Saint-Victor, powiedział w swem sprawozdaniu, że „pana Matejki kompozycya tak pełna, uczona, wykarmiona Van-Dyckiem, daleko jest wyższa od utworów Pawła Delaroche.”

Taka pochwała w ustach bałwochwalczo czczącego swe sławy Paryżanina, to strasznie wiele!

Miło nam stwierdzić takie powodzenie słowianina; tem miléj, że w istocie pierwszy tak świetny tryumf oglądamy w Paryżu.

Pan Matejko otrzymał medal malarski.

PIOSENKA.

Z MUSSETA.

Gdy cię w smutnych dni zawiei
Blask nadziei
Nie zachwyca,
To lekarstwem na cierpienie
Dźwięków brzmienie,
Piękność lica.

Mniéj kosztuje, więcéj zjedna
Piękność jedna,
Niźli męże;
Lecz rzecz z wszystkich ta wybrana,
Gdy kochana
Ci przysięże!

J. G.

POEZYA I MIŁOŚĆ

SONET

z Kernera.

Liry swéj złote stróny śpiewak zmąca,
I w duszy światło wstaje obudzone,
I wskróś przechodząc przez mocną opone,
Promieniem Bożym w ciemną przeszłość trąca.

Duch Boży tylko ma dźwięki wieszczenia;
Więc jak przez oddech rozdmuchnięta Boży
Płynie pieśń cicha w błogim stroju zorzy,
Żarzy się—rośnie—bieży pod sklepienia.

Już się kołyszą harmonijne tonie,
Mknie pieśń tajemna o krepie świetlonéj
Płynie w powodzi nieczystéj jaśności.

Gdzie miłość jednym ogniem z pieśnią płonie,
Otwarte niebo tam z bramy różanéj,
A serce wzlata do prawdy świętości.

J. G.

ŻEGLARZ.

I śród ponurych morza fal
Płynął zbłąkany po nocy,
I smętnem okiem rzucał w dal:
Znikąd nadziei, pomocy!
Łódź wątła jakby trzcina wód
Za każdem wiosła pluśnięciem
Chwieje się, fala cofa bieg,
Kołysze niby dziecięciem.
Snują się myśli rojem żmij,
Przed wzrokiem mary zagłady...
Samotny majtku! blednij, drżyj,
Puszczaj przeczucie na zwiady...
Wszak to nie Syren słyszysz śpiew,
Nie Cudo-licy włos świeci!
Ręka ci mdleje, stygnie krew:
Ty pewnie w domu masz dzieci?
Wszak to wichr zawył z czarnych stron,
Morskie się kłębią poczwary...
Słyszysz z otchłani śmierci dzwon?
Bóg morza łaknie ofiary.
Ale, żeglarzu! podnieś skroń,
Wygładź swe czoło zbróżdżone.
Rozstąpiła się niebios błoń,
Przedarła czarną zasłonę.
Wyjrzała gwiazda z bożych-pól,
Rzuca ci jasne warkocze;
Uśmierz niewczesny strach i ból,
Podnieś znów dłonie robocze,
Wyjrzała gwiazda, ona ci
Promiennym mostem śród prądu,
I otchłań ciszą niebios lśni,
Płyń-płyń, żeglarzu do lądu.

J. G.

POGADANKA TYGODNIOWA.

Podróż karetą pocztową, wyborna to i wygodna niezmiernie jazda, szczególniéj gdy się dobierze towarzystwo.

Nasze było gwarne i wesołe, i szła kareta z dodatkiem półkaretowym, na każdéj stacji odmienionym, co przy przerzucaniu pakunków i osób, bardzo podróż urozmaicało. Jechaliśmy więc jak aniołowie, wprawdzie co chwila podnosiły się skargi, na uporczywe drzwicki żadnym sposobem niedające się namówić do przymknięcia, na brak firanek zasłaniających przed palącem słońcem, na koło przepuszczające smarowidło, na rozpalającą się oś ledwo że nie do czerwoności, ale to drobnostki.

Jechaliśmy i około nas wznosiły się kłęby kurzu, migały pola usłane zbożem, przemykały się lasy, wioski, odosobnione zabudowania: kareta trajkotała, pocztyljon wytrębywał, podróżni gwarzyli, lud roił się przy żniwie i przy zbiorze siana, czasem wybiegła piosnka od pola, aż wreszcie zaszło słońco, w zastępstwo swoje posyłając tyle spragniony chłód i ciszę wieczorną, osłaniając mrokiem otaczającą nas okolicę. Pomału gwar ucichł w karecie, z pobliskiego bagna ozwał się głos trzpiotowatéj czajki, skrzypienie der-

kacza, gwizdanie poważnego żółwia i pianie przepiórki przywołujące rolników, pójdźcie żąć, pójdźcie żąć!

Co do podróżników, jeden jechał do wybranéj przez siebie bohdanki, i co rzadkość niezmierna, nie wiedział na prawdę, czy uzłocona myślą jego serca, również przystrojoną zostanie niestartym wdziękiem posagu. Drugi po ciężkiéj bardzo chorobie, wyleniony z włosów, spieszył do rodziców ucieszyć ich odzyskanem zdrowiem i życiem. Trzeci przedsiąwziął wyprawę dla objęcia majątku w posiadanie, który co także rzadkie niezmiernie, nie myślał o czwórkach, powozach, liberjach i konkurach, ale o oddaniu go w zarząd kochanemu przez siebie ojczymowi i o dalszem kształceniu się w naukach. Jechały także z nami dwie matki wracające z odwiedzin synów swoich w Warszawie, i jeszcze jedni państwo, on przechwalający się swemi tytułami i szacunkiem publicznym, ona gderająca na każdéj stacji na męża za pomieszczenie jéj w dodatkowéj półkarecie i chcącéj siłą wedrzeć się do karety głównéj, jako więcéj przynależnéj jéj, jak każdemu innemu. Towarzystwo więc było miłe, godne zazdrości, i gdyby nie oś, koło, drzwiczki, firanki i owe małżeństwo nic nie pozostawało do życzenia.

W czasie mojéj nieobecności w Warszawie, w ogrodzie Saskim dali widowisko gimnastycy Arabscy, przy nadzwyczajnym napływie ciekawéj publiki. Jakie zręczne gimnastyczne sztuki wyprawiają, opisałem Wam w przeszłéj pogadance; tu powtórzyli to samo z jedną zręcznością i zwinnością.

W przedmiocie widowisk i wykładów publicznych, odebrałem w tych dniach bardzo ciekawą korespondencję.

Pan Z. wspomina o obrazach Robin'a przedstawianych w Paryżu, albo innych podobnych niezmiernie zajmujących.

Obrazy Robin'a dzielą się na dwie części. W pierwszéj przedstawia się wnętrze morza, jego przepaści, żyjątka i wszystkie zjawiska, parowanie globu, spadki wód, pierwotne wodotryski, potop, różne sceny życia morskiego, podmorskie tajemnice, słowem wszystko co pociąga jak przepaść ku sobie, a zachwyca jak dramat. W drugiéj części widzimy walkę człowieka z morzem, łowienie korali, pereł, dzwony nurkowe, marynarkę starożytną, parową, burzę, pożar okrętu, rozbicie, potwory, walkę z morzem i najdramatyczniejszą, w któréj zawsze człowiek karzeł, zwycięża olbrzyma, ocean!

Wrażenia odbieranego nie podobna opisać, wątły człowiek patrzy na ten żywioł straszny, drży i podziwia, jakby dotykał się nieskończoności, owéj najwyższéj siły, pochłaniającéj wszystko, a w zamian dającéj wieczność czekającą wszystkich.

W obec téj straszliwéj wód przemocy, mimowoli zapytuje człowiek sam siebie, czem jest ta odrobina ziemi na któréj żyjemy? czem życie ludzkie, a czem śmieszne zabiegi jego o drobnostki ziemskie, owe papierowe cacka drące się w szmatki przy grobowym dole?

Z obrazów takich, widz jeżeli nie wychodzi odrazu rozumniejszy i lepszy, to pewno skruszony i upokorzony, a i to bardzo wiele znaczy.

Inne widowisko, powiada p. Z. w nowem zupełnie rodzaju, zajęło mnie lat temu kilkanaście w Wiedniu, i tak wyryło się w pamięci, że je pamiętam jak dziś, i mógłbym wszystko jak najdokładniéj odmalować. Nazwiska jego nie pamiętam, ale miały to być, obrazy fantasmagoryczne, powstałe z nauki i na niéj oparte. Pokój do którego nas wprowadzono, był oświetlony bardzo licznemi lampami, i wszystkie okna miał starannie zasłonięte. Cały zajęty na ławkach siedzącą publicznością, nie posiadał żadnego przyrządu teatralnego, ani kortyny, ani podniesienia, ani podziału od widzów, tylko bieliły się do koła białe ściany salonu i dudlił jakiś fortepijanista na fortepijanie. Kiedy tak siedziemy, nie pojmując gdzie zapowiedziane przedstawienie odbywać się będzie, gdzieś bardzo daleko, jakby pod ziemią dał się słyszeć głos dzwonka, potem ozwał się bliżéj, i w téj saméj chwili wszystkie światła w salonie zgasły a myśmy zostali pogrążeni w najstraszliwszéj ciemności. Naturalnie pomiędzy patrzącemi powstał szmer, każdy się poruszył zagadał do sąsiada, i kiedy zadziwienie miało się już przemienić w głośną skargę, na tle ciemnicy zamajaczał, jakby słaby pobłysk światła, które rozlewając się niby jutrzenka na niebie, zaczęło pomału odsłaniać dziki krajobraz afrykański, z palmami, z kaktusami i z białym palącym piaskiem, gdzieniegdzie uśmiechającym się zielenią. W krótce nad tą pustynią pokazało się wschodzące słońce i martwa natura pustyni Sachary, stanęła przed nami w całéj swéj straszliwéj i okropnéj prawdzie, świecąc żarem i stercząc gruzami ruin, do połowy zagrzebanych w piasku. W tem na dalekim horyzoncie zaczernił się ruchomy jakiś punkcik...

Był to lew, olbrzymi, potężny, podniósł łba, zawęszył, zaiskrzył ślepiami, machnął ogonem jak mieczem i biegnąc poskakując, układł się na piasku nie dając na nas najmniejszego baczenia. Byliśmy mu za to niezmiernie wdzięczni, a niejeden aż odetchnął swobodniéj, zobaczywszy, że ten straszliwy mieszkaniec pustyni, po klapnięciu kilka razy paszczą, mordę odwrócił w inną stronę. W chwilę potem, lew w całym majestacie swéj siły, zastrzygł uszami, strząsnął grzywą, ślepie buchnęły żarem wściekłości; i w kilku susach stanął przy ruinach, z których wysunął się straszliwy tygrys pełzając prawie na brzuchu, ze łbem ku ziemi spuszczonym i widocznie gotujący się do gwałtownego skoku. Lew na chwilę nie zawahał się, wyprostował się i uderzając ogonem po bokach pilnie śledził każde poruszenie tygrysa. W sekundę potem tygrys skurczył się, przyczaił do saméj ziemi i dał skok, że zdawało się iż lwa odrazu porwie w kawały i połknie jak muchę. Ale lew stary to widać gracz w walkach z tygrysami, na skok odpowiedział równym skokiem, zatopił szpony w szyi tygrysiéj i spadając na ziemię widać było, że odrazu wziął górę nad nieprzyjacielem.

Rozpoczęła się więc rozpaczliwa walka między potworami, leciał w górę piasek, kudły, kawałki wydartéj murawy, czasami z pomiędzy kłębów kurzu, wytknęły dwa łby rozżarte, pokrwawione, pieniące się, jak w wściekliźnie... tu i owdzie zarumienił się piasek krwią z ran obficie płynącą, wreszcie tygrys uległ, i runął nie ruchomy na ziemię Lew spojrzał na pokonanego, i jakby w tryumfie zagrzebał ziemię nogami, potrząsnął grzywą i zaczął ślepiami rozpatrywać się w okolicy. Patrząc tak po pustyni, to w prawo to w lewo, a wszystko z gniewem, że aż włosy stawały na głowie, lew jakby dopiero teraz ujrzał otacza-

(Dodatek).

jących go tylu ludzi, nagle zatrzymał się, poruszył skórą na całym łbie, zabłysnął ślepiami, i jak szalony rzucił się ku widzom. Jaka z tego powstała wrzawa, jaki wydobył się z pomiędzy przypatrujących krzyk, pisk, i rozpaczliwe echo, łatwo się domyśleć, ale kiedy każdy już zabierał się do spiesznéj ucieczki, nagle zabrzęczał dzwonek i w jednéj chwili zajaśniały pogaszone lampy, a zjawisko złudne zniknęło, niepozostawiając po sobie najmniejszego śladu. Zachwycenie widzów nie miało granic, posypały się oklaski i ciekawe wypytywania, jakim sposobem można naturę i tajemne jéj igrzyska z tak złudnem przedstawiać prawdopodobieństwem?

W nauczającym i bawiącym teatrze Robin'a, po obrazach historycznych, przedstawiano obrazy życia przedpotowego, optykę z widmami, mechanikę w całéj swéj cudowności, elektryczność ze zdumiewającemi jéj zjawiskami i najświeższemi przyrządami, astronomią z okazem wszech świata, teraz przed oczy widzów stanął ocean ze swemi wszystkiemi tajemnicami, a późniéj stanie niedostępny dla gołego oka świat mikroskopowy, miljony razów liczniejsze od całego widomego stworzenia.

Przed laty przeszło trzydziestu, na Podwalu, pokazywano na dużym jak bilard przyrządzie wszystkie ruchy światów należących do naszego systematu słonecznego. Za nakręceniem jak zegaru, wszystkie planety ze swemi księżycami odbywały ruch w około słońca i to według zasad przez naukę ustalonych. Pokazujący objaśniał i wszystko tłomaczył z największą dokładnością, i można się więc było i zabawić i nauczyć, mimo tego, i mimo ceny niezmiernie przystępnéj, osób bywało bardzo mało, i tylko w tenczas widowisko miało miejsce, jeżeli ze dwadzieścia osób umówiło się i zakupiło przedstawienie.

O UBIORACH

Ponieważ zrobienie sukni szczególniéj dla przyjeżdżających do Warszawy z braku zdatnych robotnic w zakładach damskich krawców, bywa niezmiernie kłopotliwe, większe zatem magazyny od pewnego czasu zaopatrują się w gotowe, które z małą poprawą bluzki lub paletocika, bardzo dobrze dają się zastosować do każdéj figury. Pomiędzy innemi w magazynie p. Thonesa widzieliśmy bardzo ładną suknię bareżową w pasy *chine* obszyta nad plisą wstążką z takimże deseniem, przybraną z obydwóch stron koronką czarną. Do tego należała bluzka i szalik odpowiednio garnirowany. Druga suknia fularowa szamoa w marmurek czarny, garnirowana była u dołu w muszle z *poult de soie* brązowego, nad tem szła pliska szerokości na trzy palce objęta aksamitką. Paletocik wcinany do figury tak samo na około garnirowany, zapinał się na czarne podługowate guziki. Gabrjela kaszmirowa koloru szafirowego ubraną była na około tureckim szlaczkiem i aksamitką czarną. Takie same Gabrjele z wyrobów w guście tureckim, ubierane są czarnym aksamitem.

Z bižuteryi należą teraz do najmodniejszych brosze i špilki w kształcie liści, robaczków lub motyli. Špilke do ubrania głowy lub przypinania ubiorków w formie sztyletów, bardzo misternie i ładnie odrobionych znaleźć można u p. Thonesa jak również:

Špilki do mężkich krawatów.

Brosze oksydowane.

Klamry z konchy perłowéj, oraz złocone.

Paski aksamitne na skórze, w różnych kolorach.

Wachlarze z gładkiego drzewa z ozdobą ze stali lub malowidłem.

Wachlarze z ołówkowego drzewa.

Do wieczornego ubrania noszą diademy złote zwane: *Imperatrice*, jak również grzebienie z gładkiemi ławeczkami złoconemi.

Korrespondencja z Paryża.

Cały elegancki Paryż wybiera się do wód morskich albo na wieś, wszyscy też zajęci przygotowaniem do podróży, we wszystkich magazynach widać wystawione ubrania na drogę. Są to po większéj części spódniczki z paltocikami: płócienkowe, półbatystowe, albo moherowe, w gładkim kolorze niewarowym. Te ostatnie więcéj nam się podobają od pierwszych, gdyż wełniany moher nie tak się łatwo gniecie jak półbatyst albo płócienko. Przybranie tych sukien bardzo skromne, składa się z pletni wełnianéj czarnéj lub pąsowéj, naszytéj u samego dołu i na każdym szwie odwróconéj w góre na pół łokcia. Do téj odwróconéj pletni, dodaje się pięć lub sześć krótkich kawałków tejże pletni, naszytych w drabinkę. Paletocik powinien być odpowiednio przybrany, kapelusik do podróży bywa zwykle słomkowy okrągły, zwężony po bokach, zachodzący na oczy. Ubierają go czarną wstążką, i piórkiem, tego koloru jak garnirunek sukni.

Do podróży i do wód morskich przyjęto powszechnie w tym roku, burnusy średniéj długości z flanelki w pasy w dwóch kolorach, przybrane kapturkiem, który można zarzucić na głowę, kapturek ten zwykle

ozdobiony bywa kwastem z wełny Angora. Wiele też widać na ulicy lekkich burnusików, z tkaniny Algierskiéj w pasy, lub też z gładkiego *lenosu* tego samego koloru jak i suknia.

Oprócz burnusów przysposabiają do wód morskich paletociki z kapturkami, flanelowe w paski w rozmaitych kolorach. Ponieważ kapturek nie przypada do każdéj figury, noszą takież kaftaniki i bez kaptura obłożone gładką flanelką, w ciemniejszym kolorze. Widzieliśmy takie kaftany białe w wielkie kółka fijołkowe albo szafirowe, obłożone szeroką plisą, z flaneli fijołkowéj lub szafirowéj; z takimże małym kołnierzykiem, i odwróconemi z przodu klapkami.

Koszulki białe muszlinowe i fularowe w różnych kolorach, powszechnie przyjęte w tym roku. Białe zdobią wstawką z grubéj koronki *Cluny* podwleczonéj wstążką kolorową. Uważaliśmy także ładne koszulki z fularu *bleu mexique* i fijołkowego, naszyte takąż wstawką, co bardzo ładnie wygląda. Rękawy u białych koszulek zazwyczaj wszyte w mankiet obcisły u ręki. U kolorowych mogą być takie jak u sukien, to jest ścięte do łokcia, naszyte dwa razy wstawką gipiurową.

W kapelusikach okrągłych wielka panuje rozmaitość. U niektórych rondko nadzwyczaj małe, u innych znacznie większe, ścięte cokolwiek po bokach, rozszerzone nad czołem i w tyle. Główka nie bardzo wysoka. Opasują je w koło skręcona grubo krepą, illuzją albo gazą *Donna Marja* ze spadającemi na tył końcami. Niekiedy końce spadają z boku. Ubranie składa się z pęczka piórek, z ptaszka z rozpostartemi skrzydełkami, lub z wieńca kwiatków. W ogólności robią je z białéj słomy Brukselskiéj. Między innemi podobał nam się bardzo taki kapelusik z nie zbyt małym rondkiem, podszytem plisą fijołkową aksamitną: — w koło główki szła girlanda z fijołkowych bratków. Inny kapelusik że także miał rondko małe czarne aksamitne — nad nim otaczał główkę, wieniec z pąsowéj geranji, z zielonemi listkami. Trzeci kapelusik opasany był grubo illuzją niebieską *bleu mexique* ze spadającemi na tył końcami. Illuzja ta w około kapelusika okręcona czarną aksamitką, tworzyła jakby turbanik. W środku nad rondkiem wpięte były trzy krótkie piórka strusie—dwa czarne jedno niebieskie.

Na ulicach paryzkich nie widać jednak okrągłych kapeluszy, wyjąwszy u dzieci i bardzo młodych dorastających panienek. Powszechnie dziś przyjęto kapelusze wiązane pod brodą, zwane *Empire*, z główką podniesioną w górę, zakończoną z tyłu prostym paskiem w miejscu karczka. Widzieliśmy bardzo ładny biały z tiulu jedwabnego, przybrany wiankiem z drobnych białych kwiatków z listkami. Z tyłu od tegoż wianka spadała długa zielona trawa—podpięcie nad czołem składało się z takichże kwiatków. Inny kapelusz z grubo plecionéj słomy—miał za całą ozdobę — plisę fijołkową aksamitną podpiętą nad czołem, naszytą ozdobami ze słomy. Z tyłu w miejsce karczka przechodziła takaż plisa—z pod niéj zaś spadała frendzla słomkowa. Szarfy fijołkowe z wązką frendzelką koloru słomkowego dopełniały całości.

Woalki do kapeluszy, powszechnie przyjęto długie na łokieć, z tiulu jedwabnego, gładkiego albo w muszki, obszyte blondynką na dwa palce. Noszą je białe lub czarne według woli. Widać także wiele woalek gazowych—w kolorze zielonym i niebieskim różnych odcieni.

Opis ryciny

Figura 1. Suknia z gładkiego fularu szarego z takimże paletocikiem wcinanym do figury. Tak spódnica jak paletot przybrane czarną aksamitką i ozdobami szmuklerskiemi. Fanszonik z czarnego tiulu jedwabnego i szafirowéj krepy.

Figura 2. Suknia z białego *lenosu* w czarne paski, przybrana u dołu zieloną falbanką i plisą w zęby wyciętą.

Plisa naszyta brzegiem aksamitką czarną i guzikami w środku każdego zęba.

Bluzka muślinowa ze wstawkami haftowanemi, nawleczone aksamitką. Szarfa zielona przewiązana z boku.

Ubranie małego dziecka. Suknia z białego kaszmiru naszyta plisą pąsową. Plisa ta objęta w odstępach skośnemi pliskami kaszmirowemi lub aksamitką białą. Buciki z pąsowego safjanu.

GOTOWALNIA.

Szczoteczka do zębów składa się z włosia końskiego, osadzonego w rączkę z kości słoniowéj albo konchy.

Kość słoniowa jest to ciało twarde i połyskujące, które pod ostrzem stali, i za pomocą tokarskiego narzędzia przybiera wszelkie kształty.

Kły słonia i hipopotama, dostarczają owéj kości zwanéj pospolicie słoniową.

Wielkie kości naszych zwierząt domowych, wołu konia, osła, barana zastępują kość słoniową w wyrobie pośledniejszych przedmiotów, lecz nie dorównywają tamtéj mocą ani białością.

Zwyczajna kość da się łatwo wyrabiać nożem lub piłką, lecz do wyrzynania kości słoniowéj używa się najtwardszéj stali, gdyż jest nadzwyczaj ścisła i nieuległa.

Zęby słoniów i hipopotamów sprowadzają w wielkiéj ilości z Indji i z wybrzeży Afrykańskich. Kość słoniów Afrykańskich wyżéj ceniona niż Indyjskich, gdyż kły ich większe i ściślejsze. Kość z zębów hipopotama jeszcze delikatniejsza i twardsza, ale ponieważ zęby te są małe i prawie zupełnie wydrążone, służą tylko do wyrabiania drobnych przedmiotów.

W ostatnich czasach użycie kości słoniowéj tak się powiększyło w Europie, że trudno pojąć, jakim sposobem, Afryka i Indje starczyć mogą z dostawą surowego produktu.

W końcu zeszłego wieku Anglja wyrabiała rocznie kości słoniowéj, za 193,000 funtów szterl. od roku 1827, sprowadzała ją mniéj więcéj za 365,000 funtów; potrzeba było zabić 3,040 słoni samców, aby otrzymać 6,080 kłów, których liczba odpowiada pomienionéj summie. Dziś Anglja konsumuje trzy razy tyle kości słoniowéj, to jest za 1,000,000 funt. szterlingów rocznie. Aby zadosyć uczynić jéj żądaniu potrzeba zabić co rok 8,533 słoni.

Z pomiędzy łowców zajmujących się polowaniem na słonie, ginie corocznie około 4000, a to dla utrzymania fabrykacji trzonów do noży, grzebieni, kul bilardowych i t. p.

Cuvier opisał największe kły słoniowe znane do jego czasu. Ze wszystkich największy sprzedany w Amsterdamie, ważył 350 funtów.

Kieł słoniowy ważący wyżéj nad 70 funtów, liczony już jest do pierwszéj klassy. W ostatnich czasach sprowadzono do Anglji z Bombay, kły ważące do 122 funtów; z Przylądka dobréj nadziei i z Egiptu, ważyły od 106 do 114 funtów.

Kły sprowadzane dziś do Europy, większe są i cięższe od dawniejszych, a to z powodu, że łowcy zapuszczają się coraz głębiéj w Afrykańskie puszcze. W roku 1864, przysłano z Ameryki ząb ważący 800 funtów, długi na trzy metry. Na wystawie Londyńskiéj w r. 1851, podziwiano, obrobioną wielką bryłę kości słoniowéj, długą na jedenaście stóp Angielskich szeroką na stopę.

Różne są gatunki kości słoniowéj: z zachodnich brzegów Afryki w ogólności mniéj elastyczna i mniéj biała; używają jéj głównie na trzony do nożów. Z najdroższéj kości słoniowéj wyrabiają kule bilardowe.

Od czasu zajęcia Algerji przez Francuzów handel kością słoniową rozwinął się znakomicie w Afryce północnéj.

Syberja dostarcza także Europie znaczną ilość tego produktu. Dziwnem się wydaje, że pod lodowatą strefą, znajdują się kły zwierząt, które żyją tylko pod gorącem niebem krajów zwrotnikowych. Powinniśmy też dodać, że te kły dobywają tam z wnętrza ziemi.

W pierwotnych czasach kuli ziemskiéj, żyło w tamtych stronach plemię olbrzymich słoniów, zwanych Mammuthami, dziś już zupełnie zatracone. Zwierzęta owe miały ogromne kły zagięte w łuk grubości niesłychanéj, na równinach Syberji, wykopują w wielkiéj obfitości, szczątki tych przedpotopowych zwierząt. W niektórych miejscach znajdują się całe cmentarzyska mamuthów; zęby ich wybornie zachowane stanowią przedmiot handlu, lecz gatunek ich nie wyrównywa kości słoniowéj sprowadzanéj z Afryki i Indyi.

Widziemy także na gotowalni różne przedmioty do ubrania wyrobione ze złota, srebra lub innych kruszców, niekiedy ozdobione drogiemi kamieniami. O tych więc kruszcach i kamieniach powiemy dziś słów kilka.

Złoto. Starożytni dobywali w Indjach, w Turcji, w Macedonji, na Kaukazie, w Arabji, i t d. Historja święta uczy nas że kruszec ten znany już był i używany za czasów Abrahama. Przyroda rzec można rozsiała wszędzie złoto, lecz nie zbyt hojną ręką. Wartość jego ztąd pochodzi że go mało, i że się nie niszczy od wpływu powietrza. Ameryka posiada najznakomitsze kopalnie tego kruszcu.

Złoto znajduje się w piaskach kwarcowych osiadłych po ustąpieniu wód, lub też w kwarcowych żyłach, przerzynających pierwotne pokłady ziemi. Bywa prawie zawsze w stanie metalicznym, to w kryształach to w blaszkach, to w bryłach, mniejszéj lub większéj objętości, połączone ze srebrem lub innemi kruszcami. Niektóre rzeki Europejskie, zawierają w swych nurtach cząstki złota. Rzeki te wypływają zwykle z pierwotnych pokładów ziemi, lub też przepływają długą przestrzeń, po takichże pokładach. Z pomiędzy Francuzkich rzek zawierają w sobie złoty piasek Rodan, Gard, Ceza, Izera, Rea w okolicach Strasburga, Garona około Tulizy i inne. Są także w Hiszpanji, Piemoncie i w Niemczech, rzeki zawierające w sobie ten drogocenny kruszec. Starożytni Gallowie zbierali już złoto nad brzegami Rodanu. Na Renie wydobywanie złota mało przynosi korzyści, trzeba bowiem poruszyć do 400 kubicznych metrów piasku, aby otrzymać sto gramów złota, wartości 300 franków.

Syberja, oraz góry Uralskie i Ałtajskie, bardziéj obfitują w złoto, najwięcéj jednak dostarcza go Kalifornia i Australja.

Piasek złoty oczyszcza się wszędzie w jednaki sposób. Płoczą go w wanienkach drewnianych lub na pochyłych stołach pokrytych suknem. Prąd wody unosi prosty piasek, a zawarte w nim złoto z powodu ciężkości, osiada na suknie lub wpada w głąb wanienki. Gdy już dostatecznie oczyszczone, łączą je z merkurjuszem, i tę mięszaninę dystylują we właściwych do tego przyrządach; skutkiem czego ulatnia się merkurjusz.

W niektórych krajach, otrzymują złoto z siarczyku, miedzi, ołowiu i srebra, który zawiera w sobie pewne jego cząstki. W kaliforni zaś dobywają złoto ze skał kwarcowych, za pomocą machin, które od razu roztłukują, myją i łączą kruszec.

Według obliczeń statystycznych, nasza półkula ziemska, wydała w r. 1854; 35,587 kilogramów złota, przedstawiających wartość 122,000,000 franków.

Nowa zaś półkula przyniosła 145,246 kilogr. wartości około 500,000,000.

Po wszystkie wieki, złoto zajmowało pierwsze miejsce pomiędzy kruszcami. Piękna jego barwa, połysk, trwałość i nadzwyczajna giętkość, nadaje mu słusznie to pierwszeństwo.

Złoto za nadto jest miękkie, aby go można używać do wyrobu tak biżuterji jak monety, bez dołączenia innego kruszcu twardszego; tym kruszcem jest *miedź*. Stosunek miedzi do złota rozmaity, stanowi jego wyższą lub niższą próbę.

Oprócz biżuterji złotych, wyrabiają także pozłacane, nierównie tańsze od pierwszych. Zazwyczaj pozłacają mosiądz, miedź albo srebro. Pozłacanie to odbywa się na rozmaity sposób. Niekiedy przykładają płatki malarskiego złota, do rozpalonych kruszców; złocą także za pomocą merkurjuszu, lub galwanicznemi środkami.

Złocenie za pośrednictwem merkurjuszu, znane już było w starożytnych czasach. Sposób ten narażał na niebezpieczeństwo robotników, którzy wciągając w płuca merkurjalne wyziewy, przypłacali zarobek chorobą a niekiedy i śmiercią. Dziś przyjęto sposób złocenia galwaniczny za pomocą stosu wolty, prąd elektryczny spełnia w mgnieniu oka to, na co dawniéj potrzeba było długiéj i mozolnéj pracy ludzkiéj.

ROZMAITOŚCI.

Lopez de Vega Carpis. Hiszpan urodzony w r. 1562 był pisarzem dramatycznym niezmordowanéj pracy, w któréj dotąd żaden z piszących mu nie

wyrównał. Według najdokładniéj zebranych wiadomości, napisał on tysiąc pięćset komedji, trzysta *autos sacramentales* i dwadzieścia jeden tomów poezji. Wszystko razem mogło obejmować około dwudziestu miljonów wierszy, co tydzień więc musiał ich utworzyć około trzech tysięcy. W pismach jego brak wykończenia, ale wynagradza to bogactwo twórczości, ognista wyobraźnia, język poetyczny i pobłyski prawdziwego geniuszu.

Młodość swą przepędził niezmiernie burzliwie, ale ją opowiada bez żadnych obsłon w swojéj Dorotei. Wygnany za pojedynek, rzucił się do rzemiosła wojennego, ale utraciwszy koleją dwie żony, zawiedziony w uczuciach, któremi marnotrawnie szafował, został księdzem i zbierał po ulicy chorych i umarłych. Pisząc z taką łatwością i tak wiele, wprędce zyskał zasłużony rozgłos: idącego ulicą, lud ciekawy tłumnie zawsze otaczał, a papież osypał go zaszczytami. Za sławą płynęły i pieniądze jak woda, ale poeta wydawał je z takim pośpiechem na przepych i dobroczynność, że wiecznie gonił ostatkami, albo stękał nad brakiem. Pomimo lekceważenia formy i znanych prawideł dramatu, przeciw pierwszéj rzadko grzeszy, drugiemi rozmyślnie pomiata.

Cudzoziemcy, sam powiada, dowiedzą się, że w Hiszpanji komedje nie trzymają się prawideł sztuki. Takiem je tworzył, jakiem je znalazł; inaczéj nie byłyby zrozumiałe. Nie dlatego Bogu dzięki, iżbym nie znał prawideł sztuki, ale piszący podług nich umarłby bez chwały i zysku. Niekiedy pisałem według uznanych prawideł, znanych bardzo małéj liczbie osób, ale kiedym ujrzał niedorzeczności, z ogromnym poklaskiem przyjmowane przez gmin... stałem się barbarzyńcą dla jego korzyści. Gdy więc mam pisać komedję, prawidła sztuki zamykam na sześć zamków; Plauta i Terencjusza wyrzucam za drzwi, aby ich głos nie podnosił się przeciw mnie, ponieważ w księgach choć milczących, prawda głośno praw swych się dopomina.

Ja piszę dla publiczności, a ponieważ ona płaci, sprawiedliwie jest zatem przemawiać do niéj językiem głupców, który się jéj podoba.

Niepodległość więc geniuszu, ugięła się przed chęcią zarobku sławy..... i pieniędzy. Żył lat 73, z których ostatnie dwadzieścia był spowiednikiem tak nazwanych *familiares* inkwizycji. Pisać jednak nie przestał do saméj śmierci, a chociaż późniéj dopełniał tego w kapturze mnicha, w żadnéj jednak swéj pracy nie rozwinął uczucia prawdziwego chrześcjanina.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



TYGODNIK MÓD

w Warszawie